

Rzeczpospolita w korkowym kasku

Ambicje kolonialne – to przecież prawie to samo, co realizacja! Skoro w „Misiu” wnuczek ministra Złotnickiego mógł dostać puchar na zachętę – Polskę można obsztorcować za mrzonki o kolonialnej roli równie skutecznie, jak za zorganizowanie handlu w znanym trójkącie towarów – niewolnicy – melasa. Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu "Barwy kampanii"

Z wielu tytułów do chwały Polska obierana jest w ostatnich latach stanowczo niczym cebula z łuski. Głośny „zwrot ludowy”, zaowocował tuzinami publikacji o matkach-służących, babkach-chłopkach i dziadach-asystentach Szeli. Wers z „Psalmów przyszłości”, dawniej stanowiący wdzięczny obiekt ćwiczeń logopedycznych („proszę wymówić bez zbytecznej pauzy »Z szlachtą polską...«”) nie ma większych szans ostać się w wypisach. Łatwiej wymówić „my kraj bez Quislingów, Petainów”, ale i tej frazie zdają się zaprzeczać, jak wiadomo, liczne publikacje prof. Jana Grabowskiego. Na tym jednak nie koniec.

Co jeszcze w czasach dekonstrukcji można powiedzieć dobrego o przeszłości Polski? Co i raz ktoś obrywa kolejny liść z dawnego splendoru, trochę w duchu pracy „Całkiem zwyczajny kraj” Briana Porter-Szúcsa (Wydawnictwo Filtry, 2021), godnej odnotowania przede wszystkim może ze względu na żar, z jakim „ujawnia” fakty w oczach historyków równie banalne, co bezsporne. Poodzierana z pustej chwały,

zdekonstruowana i przenicowana przez historyków krytycznych Rzplita szuka jeszcze ostatnich tytułów do szacunku. Może „Solidarność”? No, może. „Państwo bez stosów”? Co prawda co i raz któreś z czasopism nurtu liberalnego przywołuje nieszczęsną Barbarę Zdunk, ofiarę procesu i stosu, który zapłonął w roku 1811 w warmińskim Reszlu (dyskretnie pomijając fakt, że stało się to pod miłościwym panowaniem króla Prus), ale może to tabirowe hasło utrzyma się jeszcze chwilę, mimo kultu Kazimierza Łyszczyńskiego, postulowanego przez Marcela A. Veleza, autora W.A.B.

Cóż, jest jeszcze brak kolonii. Oczywiście, niewielka to cnota, gdy zważyć, że płynęła z nieobecności Rzeczypospolitej wśród europejskich potęg w wieku XIX, gdy dzielono się Oceanią i Afryką, a zaradny Leopold II rozpoczął pozyskiwanie na skalę przemysłową nie tylko kości słoniowej, lecz i prawych dłoni. A jednak: nieprecyzyjne, krążące po internecie mapy, przypisujące liczbę kolonii różnym potęgom europejskim, na których na wschód i południe od Niemiec i Włoch rozpościera się biała plama, są, mimo, że anachroniczne i nieprecyzyjne (co z koloniami państw, których nie ma już dziś na mapie? Czy nie powinno się inaczej liczyć panowania Hiszpanii nad Amerykami i Kompanii Wschodnioindyjskiej, a później Korony Brytyjskiej, nad Singapurem?), nadzwyczaj wymowne. Szczególnie w epoce, gdy odpowiedzialność dawnych potęg kolonialnych staje się pierwszoplanowym argumentem przetargowym w rozmowach o odszkodowaniach, rozmieszczeniu uchodźców, docelowo – całej osi relacji politycznych Północ-Południe. Fakt, że trudno mówić o faktoriach chorwackich czy słowackich w dorzeczu Konga, że w inwentarzu Muzeum Czartoryskich (a bodaj i puławskiej Świątyni Sybilli) nie sposób doszukać się klejnotów zrabowanych maharadzom ani skór branych w jasyr niewolnic, może mieć niebagatelne znaczenie, gdy mowa będzie o ciężarze przeszłości i winy.

Może mieć znaczenie – może jednak zatrzeć się jako argument, jeśli uda się przyrządzić pyszną narracyjną zupę na gwoździu, czyli opowieść o polskich ambicjach kolonialnych. Ambicje – to przecież prawie to samo, co realizacja! Skoro w „Misiu” wnuczek ministra Złotnickiego mógł dostać puchar na zachętę – Polskę można obsztorcować za mrzonki o kolonialnej roli równie skutecznie, jak za zorganizowanie handlu w trójkącie towary – niewolnicy – melasa.

Naturalnie, nie mówimy w tym miejscu o spisku, o zorganizowanej inicjatywie tworzenia negatywnego obrazu Polski – nic takiego nawet nie powstało nam w głowie. Myślę raczej o – tak popularnej wśród historyków idei – rekonstrukcji typu idealnego argumentacji i prezentacji faktów.

Że bowiem w II RP pojawiły się ambicyjki wejścia do wspólnoty potęg kolonialnych – od dawna wiadomo. Opisywano, ze (zbyt nim może) rozczuleniem parady i pochody Ligi Morskiej i Kolonialnej, tak pyzate i naiwne, że nieodmiennie miały twarz Bobka Kobieli, próby animowania politycznego rozproszonego polskiego osadnictwa w Kurytybie, podróże Mieczysława Lepeckiego i Arkadego Fiedlera czy groteskową awanturę liberyjską, która nadawałaby się może jako podstawa do „Vabanku 3”, gdyby Juliusz Machulski zechciał go kiedyś nakręcić. Wszystkie te przymiarki wydawały się rozczulające w swojej nieporadności, niczym dwulatek wymachujący patykiem w przekonaniu, że właśnie stał się groźnym rycerzem.

Not any more. Najpierw przyszła publikacja na gruncie akademickim: „Poland in a Colonial World Order. Adjustments and Aspirations 1918-1939” Piotra Puchalskiego. Ukazała się w wydawnictwie pierwszoligowym, nakładem wydawnictwa Routledge, w prestiżowej serii „Histories of Central and Eastern Europe” – i, w niczym nie mijając się z faktami, błyskotliwie wpisuje fascynację Gdynią i odtwarzaniem polskiej żeglugi, szarpaninę Becka na forum Ligi Narodów i awantury liberyjskie w „reinterpretowanie przez przywódców Polski międzywojennej kolonialnego wymiaru polityki jako narzędzia wpisania się w systemowe przemiany światowego ładu, (...) zwiększenia prestiżu międzynarodowego kraju czy wysłania poza jego granicę populacji żydowskiej”. Tytuł jest dosyć świeży (2022), nie ma jeszcze wielu recenzji, ale można być spokojnym, że wydana przez Routledge praca o polskim kolonializmie i wysiedlaniu Żydów nie przejdzie niezauważona.

To jednak w obiegu akademickim. Na rynku krajowym nieporównanie większe szanse ma „Bzik kolonialny” Grzegorza Łysia, wydany w tych dniach przez W.A.B. Marketingowcy wydawnictwa okazali się co prawda niemałym rozmachem (wyobrażam sobie, jaką karierę zrobiliby, oferując na rozwijających się rynkach perkal i szklane paciorki!) przedstawiając książkę Łysia jako „pierwszą książkę o kolonialnych aspiracjach Polski”, zważywszy, że ukazał się ich blisko tuzin; sam autor zresztą, snadź staromodny na tyle, że obcy mu jest rozmach współczesnych działów reklamy, wymienia je rzetelnie w bibliografii na końcu pracy, od klasycznych „Kolonii Rzeczypospolitej” (2005) Marka Arpada Kowalskiego po pracę Tadeusza Białasa o Lidze Morskiej i Kolonialnej (szkoda może, że w bibliografii tej zabrakło innej pracy Kowalskiego, „Dyskursu kolonialnego w II RP”, wydanej w 2010 przez DiG).

Rzecz jednak nie w sporze o to, kto bardziej szczegółowo opisał ambicje i ambicyjki polskich polityków, hochsztaplerów, nastolatków, którzy gotowi są czmychnąć do Liberii, byle nie zdawać matury i kto znalazł zdjęcia tak świetne, jak to, które u Łysia ukazuje „Paramilitarny oddział konny Ligi Morskiej i Kolonialnej”, dumnie człapiący przez Toruń, z lancami, w hełmach korkowych i z taśmami nabojów do KM przez pierś – a jest upalne lato 1939 roku! Rzecz nie w złośliwości, która u Łysia jest celna, owszem (bo i nietrudno), ale skoncentrowana niczym wyciąg antyszkorbutowy z kapusty kiszzonej, syczy i rozlewa się w każdym akapicie.

Decydująca jest perspektywa, w jakiej osadzimy tę śmieszność, burleskę i fikcję polskich „ambicji kolonialnych”, nijak się mających ani do dramatu II RP między dwoma kołami młyńskimi, ani do jej rzeczywistych ambicji międzynarodowych – czy to prometejskich, czy to środkowoeuropejskich. I tu dopiero marketingowcy W.A.B. pokazują lwi pazur (całkiem, jakby przywieziony z polowania w Liberii), prezentując „Bzik kolonialny” jako „reportaż znakomitego historyka, który odkrywa przed nami zapomniany, wstydlivy wycinek dziejów Polski [podkr. ws]”.

Już nie burleska zatem, już nie Bobek Kobiela i rojenia emerytowanych pułkowników, którzy, gdyby rzecz działa się w Anglii, nie w Polsce, gościliby na kartach jakiejś powieści Agathy Christie, wśród innych groteskowych i wąsatych typów. Nie: próba sprzedaży palety zardzewiałych nocników w Liberii i romanse Fiedlera nad brzegiem Ukajali okazują się kolejnym wstydlivym fragmentem dziejów Polski: może nie tak zbrodniczym, jak szmalcownictwo i okupacja Zaolzia, ale prawie.

Przesada? Niezgrabne sformułowanie anonimowego marketingowca? Bynajmniej. Narracja. Izabella Adamczewska-Baranowska, publicystka „Liberté” i „Gazety Wyborczej”, ze smakiem pisze o książce Łysia jako o „kondensacji polskiej tromtadracji”, o „fantomowym kolonializmie” i „karłowatym nacjonalizmie” (polskim, oczywiście). Pisze z pasją i z zachwytem. Z pasją, w której brzmią oswojone już narracje – o obróconych w niewolników chłopach i o permanentnej obrzydliwości wszystkiego, czego tkną się Polacy. „»Bzik kolonialny« jest, jak w większości książek o Polsce, bardzo zabawny, ale jednocześnie jednak trochę straszny. Czytałam go jako opowieść o polskim Panu. (...). Polski kolonializm na pewno nie był(by) »kolonializmem z ludzką twarzą« (...). Byłby obłąkaniem spowodowanym alkoholem, brakiem pieniędzy i skrupulatnie maskowanym poczuciem niższości. To nie smutek tropików, tylko rozpacz bycia Polakiem” – podsumowuje Adamczewska. No macie waszych Stasiów Tarkowskich: pijanych i z knutem.

Wyrzucicie lepiej te skorupy po orzechu kokosowym, który kupiliście na promocji w Biedronce za 2,99 i zamierzaliście dorzucić do grilla, żeby był lepszy aromat. Bo kiedy przyjdzie pół miliarda przybyszów z Afryki z pretensjami za pięćset lat kolonializmu – za późno będzie tłumaczyć się, że ani Hernán Cortés, ani Francis Drake nie rekrutowali jednak ochotników w Toruniu.

Wojciech Stanisławski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
